



PRZESŁUCHIWANY: JAROSŁAW RYBAK
ZAWÓD: DZIENNIKARZ, BYŁY RZECZNIK MON I BBN
SPECJALIZACJA: AUTOR KSIĄŻEK O ODDZIAŁACH
SPECJALNYCH, M.IN. „ATOMOWI KOMANDOSI”
W SPRAWIE: JAK POLSCY ŻOŁNIERZE MIELI ROZBRAJAĆ
MINY JĄDROWE W RFN?
PROWADZĄCY PRZESŁUCHANIE: ADAM WĘGLOWSKI

ATOMOWE POLE MINOWE

W przypadku III wojny światowej w awangardzie wojsk Układu Warszawskiego atakujących Zachód znaleźliby się polscy komandosi, mający rozbrajać miny jądrowe w tzw. pasie Trettnera

Adam Węglowski. Kim byli polscy „atomowi komandosi”?

Jarosław Rybak: To żołnierze, którzy tuż przed wybuchem III wojny światowej mieli unieszkodliwiać miny jądrowe wojsk NATO na terenie RFN. Ukryto je od Bałtyku po granicę z Austrią. Najmniejsze o mocy kilku setnych lub dziesiątych części kilotonny ważyły niecałe 50 kg. Były wielkości beczki wysokiej na niecały metr. Ale ich siła wybuchu była porównywalna z wagonem trojtylu. Razily punktowo, w promieniu kilkuset metrów. Mogły zniszczyć most, uszkodzić ważny węzeł komunikacyjny albo po eksplozji na dnie rzeki spowodować falę, która zaleje jakiś teren.

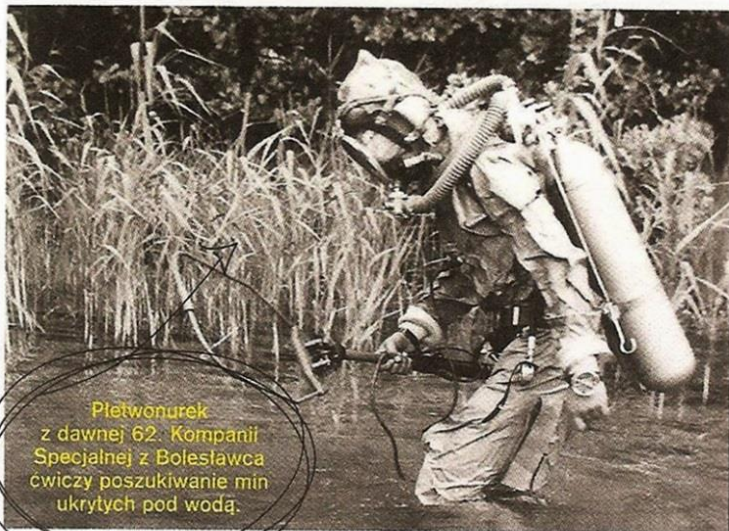
Pomysłodawcą utworzenia takiego pasa obronnego był generał Heinrich Trettner, ekswojskowy z czasów III Rzeszy, dopuszczony do służby w Bundeswehrze i w kwaterze głównej NATO. Kiedy informacje o „pasie Trettnera” dotarły do Moskwy, pojawiła się koncepcja neutralizacji tej przeszkody. Zespoły, które miały ruszać do samobójczych akcji, nazwano Oddziałami Torującymi. Miały funkcjonować przy armiach, które pierwsze zaatakowałyby Zachód. Chodziło więc głównie o radzieckie jednostki w NRD, ale też i o nasze. Polska miała bowiem wydzielić do ataku dwie armie pierwszorzutowe i jedną zapasową. Do polskich Oddziałów Torujących przeszkolono m.in. żołnierzy z 1. Batalionu Szturmowego z Dziwnowa, Kompanii Specjalnych: 62. z Bolesławca, 56. ze Szczecina i 48. z Krakowa.

A.W.: Kiedy powstawały w Polsce Oddziały Torujące?

J.R.: Na pewno od lat 70. w Akademii Sztabu Generalnego prowadzono zajęcia dla dowódców wysokiego szczebla, podczas których omawiano te zagadnienia teoretycznie. Dotarłem do dokumentów na ten temat. Ostatnie znane mi duże ćwiczenia połączone z pokazami dla wojskowych VIP-ów odbyły się w 1986 r. na poligonie w Śląskim Okręgu Wojskowym. To były czasy, gdy Waszyngton i Moskwa prowadziły już poważne rozmowy rozbrojeniowe. A w PRL minister obrony gen. Florian Siwicki w tajnym rozkazie planującym szkolenie armii na 1987 r. nakazał „skuteczniej szkolić oddziały z prowadzenia rozpoznania i niszczenia min jądrowych”. Z jednej strony pierestrojka, z drugiej przygotowania do wojny atomowej!

A.W.: Jak miało wyglądać rozbrajanie „pasa Trettnera”?

J.R.: Oddziały Torujące liczyły po kilkudziesięciu ludzi poruszających się czołgami i transporterami. Komandosi mieli rozpoznać, gdzie mogą być ukryte miny. W sytuacjach krytycznych szykowano ich także do rozminowywania. W typowym scenariuszu mieli tylko wskazać miejsce, w którego pobliżu powinna przedostać się reszta oddziału. Neutralizacja ładunków to zadanie dla specjalnie przeszkolonych saperów. Byli tak cenni, że instrukcje zabraniały im brać udział w walce, gdy zmierzali do celu. Polscy dowódcy byli jednak bardzo negatywnie nastawieni do tych planów. Uważali, że to misje niemożliwe do zrealizowania, samobójcze. „Pas Trettnera” otacza-



Płetwonurek z dawnej 62. Kompanii Specjalnej z Bolesławca ćwiczy poszukiwanie min ukrytych pod wodą.

ły bowiem klasyczne pola minowe i zasieki, a same miny jądrowe były chronione w niecodzienny sposób. Montowano je w studniach przypominających studzienki kanalizacyjne. Kilka studni tworzyło tzw. węzeł. W każdym węźle znajdowała się przynajmniej jedna mina jądrowa, ale wszystkie zasypywano piaskiem, więc nie było wiadomo, w której ze studzienek jest ładunek! Tymczasem wokół na „atomowych komandosów” czekało mnóstwo pułapek. Jeden z nich wspominał mi, że mieli do dyspozycji maskę saperską, podczas gdy Amerykanie zabezpieczali swe miny wykrywaczami ruchu i czujnikami magnetycznymi. Żołnierze nie mieli więc szans rozbroić ładunków. Byli świadomi, że pójdą na śmierć.

A.W.: Nie było innej koncepcji?

J.R.: Po pierwsze min jądrowych nie umieszczano w studzienkach na stałe, to było zbyt niebezpieczne. Miały tam trafić w momencie, gdy III wojna stanie się nieunikniona. Wcześniej przechowywano je w magazynach – w bunkrach lub jaskiniach. Dlatego wojskowi Układu Warszawskiego postanowili rozpracować system dowożenia min do węzłów. Rozpracowywali system wydawania rozkazów użycia tej broni, drogi i czasy dojazdów. Ustalili, że typowy oddział montujący porusza się ciężarówką z przyczepą, a dowodzi nim starszy sierżant. Mając tę wiedzę, komandosom łatwiej byłoby przejąć ładunki w drodze. Po drugie miny mieli detonować żołnierze amerykańscy i zachodniemieccy po wycofaniu się, z bezpiecznej odległości, z punktów sterowania. Były to bunkry, do których prowadziły kilometry przewodów z węzłów. W grę wchodził więc atak komandosów na punkt sterowania, przejęcie go i zlikwidowanie obsługi.

A.W.: Coś zostało po „pasie Trettnera” i komandosach?

J.R.: W niemieckich mostach, wiaduktach czy tamach nadal są małe studzienki. Miny do dziś znajdują się w amerykańskich magazynach. W Polsce większość „atomowych komandosów” jest już na emeryturze. Ale sam znam kilku, którzy nadal służą w jednostkach specjalnych. Węzły ćwiczebne na poligonach zostały zdewastowane. Elegancki obiekt szkoleniowy, który powstał na terenie warszawskiej Akademii Sztabu Generalnego, został... rozkradziony, gdy okoliczni mieszkańcy budowali garaże wokół uczelni. Modele min można zaś zobaczyć w muzeach, m.in. w Warszawie i Poznaniu.